

GG5 15

Rzeczpospolita

Warszawa

DZ.Nr 267

15-11-2004

W wieczorze Balanchine'a i Ejfmana klasyka okazała się ciekawsza od współczesności

Stary mistrz triumfuje

W tej konfrontacji dwóch indywidualności zdecydowanym zwycięzcą okazał się George Balanchine. Używając sportowej terminologii, należałoby powiedzieć, iż Boris Ejfman przegrał, bo pozwolił narzucić sobie styl rywala.

Twórczość Balanchine'a jest nam mało znana i to jedna z najdotkliwszych luk w wiedzy o sztuce XX wieku. Trzeba było dopiero 100. rocznicy urodzin choreografa, by polski widz zyskał okazję nadrobienia edukacyjnych braków. Nie zmienia to faktu, że zrealizowana w Operze Narodowej „Serenada” wciąż pozostaje jedynym baletem Balanchine'a, z jakim zmierzył się którykolwiek z naszych teatrów. A przecież w jego dorobku jest ponad

200 tytułów, wiele z nich żyje wciąż na scenach, głównie za sprawą New York City Ballet – zespołu, który Balanchine stworzył i prowadził przez 35 lat.

„Serenada” była pierwszym baletem, jaki zrealizował Balanchine, gdy osiadł w USA. Było to 70 lat temu, ale czas nie odebrał jej wartości. Stanowi esencję stylu artysty, który pozostał wierny baletowej klasyce, ale odrzucił jej XIX-wieczną pompatość. W najlepszych dziełach Balanchine'a nie ma fabuły, jest abstrakcja tańca, prostota i szlachetność choreograficznego rysunku, a przede wszystkim indywidualny styl rozpoznawalny już po kilku ruchach tancerzy.

Taka jest też „Serenada” ułożona do muzyki Czajkowskiego. Ulotna,

zwiewna i na wpół realna, jak najlepsze XIX-wieczne balety. Trzeba tylko umieć tchnąć w nią życie, bo wymaga perfekcyjnego wykonania. Tu liczy się najdrobniejszy gest, ułożenie palców ręki, nachylenie stopy, a minimalne odstępstwo psuje zamierzony efekt. W warszawskiej realizacji zdarzyło się kilka takich błędów, zwłaszcza na początku trzeciej części „Serenady”, ale mimo to żeńska część zespołu Opery Narodowej zaprezentowała się efektownie, a całość ozdobiła solowym tańcem Izabela Milewska.

W stulecie urodzin Balanchine'a New York City Ballet zamówił okolicznościowy spektakl u Borisa Ejfmana, bo też rosyjski choreograf jest dziś jednym z najwybitniejszych

spadkobierców baletowej klasyki. W „Musagète”, zrealizowanym teraz z warszawskim zespołem, jest sporo choreograficznych cytatów z mistrza, już sam tytuł przypomina jedno z jego dzieł. Są odwołania do jego biografii, on sam jest głównym bohaterem, pojawiają się kobiety, które kochał, a całość wieńczy apoteoza klasycznego tańca, nawiązująca do słynnego „Tematu z wariacjami” Balanchine'a z 1947 r.

A jednak w „Musagète” Ejfman ujawnia tylko cząstkę swej indywidualności. Całość rozpada się na niepowiązane ze sobą epizody, motyw śmierci – tak częsty w jego twórczości – tym razem wydaje się patetycznym dodatkiem. Choreograf zatrzymał się w pół drogi – między baletowym teatrem, który jest jego specjalnością, a czystym tańcem, w którym nie dorównuje Balanchine'owi. Styl mistrza jest bowiem nie do podrobienia, a wariacje na jego temat w ujęciu Ejfmana bywają momentami banalne, mimo że soliści – Sławomir Woźniak, Dominika Krysztoforska oraz Izabela Milewska – naprawdę bardzo się starali.

Jacek Marczyński

„Balanchine i muzy”: George Balanchine „Serenada”, kostiumy Barbara Karińska, realizacja Susan Pilarre, Boris Ejfman „Musagète”, scenografia Sława Okuniew. Dyrygent Philip Ellis, Opera Narodowa, premiera 13 listopada.